



## Janiszewski i ... Australia

Zygmunt Janiszewski żył krótko, ale intensywnie i osiągnął tak wiele, że do dziś budzi podziw i uznanie. Urodził się w Warszawie w 1888 roku, tam spędził dzieciństwo i rozpoczął naukę w jednej ze szkół realnych. Relegowany ze szkoły za udział w strajku patriotycznym, przeniósł się do Lwowa i zapisał do VI klasy tamtejszej szkoły realnej, uzyskując w roku 1907 maturę z celującymi ocenami z matematyki i fizyki oraz dopiskiem w protokole egzaminacyjnym przy ocenie z matematyki: „ze szczególnem umiłowaniem przedmiotu”. Studiował za granicą (Zurych, Getynga, Paryż), w 1911 roku doktoryzował się na Sorbonie u najznakomitszych matematyków francuskich owego czasu (Henri Poincaré, Henri Lebesgue, Émile Borel) na podstawie rozprawy z topologii, nowej wówczas dziedziny matematyki. Jego wyniki (z tej rozprawy i późniejsze) weszły na stałe do literatury światowej, a twierdzenie o dzieleniu płaszczyzny nosi jego nazwisko. Wróciwszy po doktoracie do Warszawy, rozpoczął wykłady w Towarzystwie Kursów Naukowych (namiastka polskiego uniwersytetu, na który Rosjanie nie wyrażali zgody), ale już w 1913 roku był znów we Lwowie, gdzie habilitował się i podjął zajęcia na tamtejszym uniwersytecie. Rok później wybuchła I wojna światowa i Janiszewski wstąpił na ochotnika do Legionów, spędzając zimę 1914/1915 na froncie w Karpatach jako prosty artylerzysta. Odwołany w 1915 roku do Komendy we Lwowie, zajmował się rozwijaniem Polskiej Organizacji Wojskowej i wykładaniem w zastępstwie internowanego przez Rosjan prof. Wacława Sierpińskiego. Kiedy w Legionach wybuchł w 1917 roku kryzys przysięgowy, Janiszewski odmówił złożenia przysięgi wierności cesarzom Niemiec i Austro-Węgier, po czym schronił się w okolicach Radomia pod przybranym nazwiskiem Zygmunt Wicherkiewicz. W Ewinie k. Włoszczowy założył ochronkę dla biednych dzieci i wspierał wiejskie szkoły, a przy okazji tej działalności charytatywnej poznał Janinę Kelles-Krauz ze Lwowa, z którą się niebawem zaręczył. Powołany jeszcze w 1915 roku na jedną z katedr matematyki odrodzonego Uniwersytetu Warszawskiego, nie mógł jej objąć, ale w odpowiedzi na apel Kasy Mianowskiego do uczonych polskich o ocenę stanu ich dyscyplin napisał artykuł *O potrzebach matematyki w Polsce*, w którym sugerował skupienie wysiłków młodych matematyków polskich na jednej dziedzinie matematyki (stała się nią „teoria mnogości i jej zastosowania”, w praktyce głównie topologia), przyjazną współpracę między nimi oraz założenie czasopisma publikującego prace z wymienionej wybranej dziedziny. Był to plan niezwykle śmiały (por. PAUza 205), niemniej kiedy Janiszewski dotarł w 1918 roku do Warszawy, a następnie objął katedrę, uruchomił seminarium z topologii i rozpoczął zbieranie materiałów do wymyślonego przez siebie czasopisma „Fundamenta Mathematicae” – jego zamysł stał się programem słynnej później warszawskiej szkoły matematycznej. Szalejąca po I wojnie światowej hiszpanka dopadła jednak i Janiszewskiego. Wydobrzył, ale był osłabiony. W listach do Janiny zapowiadał przyjazd do

Lwowa na Boże Narodzenie 1919 roku. W pociągu, którym jechał, zepsuła się lokomotywa i pociąg stał w polu kilka godzin bez ogrzewania. Janiszewski się przeziębił, przeziębienie przeszło w ciężkie zapalenie płuc, a tego wyczerpany organizm już nie wytrzymał. Zmarł 3 stycznia 1920 roku w wieku 31 lat. W testamentie zapisał swoje ciało wydziałowi lekarskiemu, aby i po śmierci służyć nauce, ale testament został otwarty dopiero po jego pochówku na Cmentarzu Łyczakowskim (pole 58). W latach międzywojennych grób był zadbane i wnoszono za niego stosowne opłaty. Podobnie było w pierwszych dekadach powojennych (zachowało się zdjęcie z 1971 roku), ale potem na skutek odbywających się tam pochówków ślad po grobie został zatarty.

Janina Kelles-Krauz nigdy nie wyszła za mąż; w 1957 r. wyjechała ze Lwowa do Wrocławia i do emerytury pracowała w Ossolineum.

Piękna postać Janiszewskiego nie została jednak zapomniana. Jego dorobek naukowy żyje w matematyce, warszawska szkoła matematyczna wyniosła matematykę polską na światowe wyżyny, a „Fundamenta Mathematicae” wychodzą do dzisiaj i wciąż należą do czołówek czasopism matematycznych. Pamięta się też o jego szlachetnym charakterze, patriotyzmie, poczuciu odpowiedzialności i zaangażowaniu w niesienie pomocy humanitarnej; wzruszającego przykładu takiej pamięci dostarczyła ostatnio osoba z antypodów, pani Kymmy Hinton z Australii. Od wczesnej młodości zafascynowana osobowością Janiszewskiego, zbierała o nim różne informacje, układając je dla siebie w formie książki, a w stulecie śmierci Janiszewskiego postanowiła złożyć kwiaty na jego grobie. Przyjechała do Lwowa, lecz grobu nie znalazła. Nie dała jednak za wygraną i poszła do dyrektora cmentarza, przekonując go do bardziej intensywnych poszukiwań (próby odnalezienia grobu Janiszewskiego matematycy lwowscy podejmowali na własną rękę już od końca ubiegłego wieku). Staranne poszukiwania przyniosły rezultat. Kilka metrów od miejsca jego prawdopodobnego pochówku znaleziono płytę nagrobną, wmurowaną w jakiś późniejszy nagrobek. Wyluskano ją, odnowiono, a potem położono na wolnym miejscu, blisko prawdopodobnego miejsca jego pochówku. W ten sposób Zygmunt Janiszewski odzyskał grób, który jest obecnie pod opieką matematyków lwowskich.

Niech mówi Kymmy Hintob: „I find the rise of the Polish School so fascinating. How it grew from essentially the ashes of war, in a nation which has been erased from the map and finally reinstated as a country again and became a powerhouse on the world stage. Zygmunt's influence can never be forgotten. There should be books written about him and his influence. Inspiring and visionary people like him we should be looking up to as our idols”.

Kymmy Hinton prowadzi od lat akcję informacyjną na swoim Instagramie, a od czasu agresji rosyjskiej na Ukrainę wysyła paczki z pomocą do Lwowa i i innych miast Ukrainy.

# Długa droga do Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach

Budowanie uniwersytetu w Kielcach ma długą historię, prehistorię nawet. Zabiegając o rozwój Staropolskiego Okręgu Przemysłowego, Stanisław Staszic doprowadził do uruchomienia w 1816 roku Szkoły Akademiczno-Górnicznej w Pałacu Biskupów Krakowskich. Uczelnia nie przetrwała długo i niemal półtora wieku upłynęło, nim powstała w Kielcach kolejna uczelnia: najpierw, w 1965 roku Wyższa Szkoła Inżynierska, która dała początek Politechnice Świętokrzyskiej, a cztery lata później Wyższa Szkoła Nauczycielska, która przekształcana kolejno: w Wyższą Szkołę Pedagogiczną, w Akademię Świętokrzyską, w Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy, stała się w 2011 roku pełnoprawnym Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Uniwersytet powstawał więc powoli, mozolnie budowano jego infrastrukturę i kadre. Pierwszy rok akademicki 1969/1970 otwierano w sali kina Romantica, a studentów trzech wydziałów i sześciu kierunków było 250. Po 20 latach uczelnia uzyskała po raz pierwszy prawo do nadawania stopnia doktora – doktora nauk humanistycznych w zakresie historii. Wkrótce potem przejęła gmach po Komitecie Wojewódzkim PZPR, gdzie znalazł siedzibę rektorat. Rosła liczba wydziałów, obecnie jest ich 6, i kierunków kształcenia, teraz 50. Liczba studentów była rekordowa i wynosiła ok. 30 tysięcy w końcu lat dziewięćdziesiątych, lecz spadła do 20 tysięcy w 2010 roku. Obecnie jest 12 tysięcy studentów, których uczy prawie tysiąc nauczycieli akademickich, w tym 80 profesorów tytularnych. W efekcie ostatniej przeprowadzonej ewaluacji uczelni przyznano kategorii A i B+ w 18 dyscyplinach, co oznacza uzyskanie pełni praw akademickich.

Przez ostatnich 28 lat byłem świadkiem, niekiedy uczestnikiem tej historii. Przyjaciel namówił mnie do pracy w Kielcach, a ja po blisko dwóch dekadach czysto naukowej aktywności w instytucie badawczym w Warszawie chciałem uczyć, wykładać, więc długo się nie namyślając, zgodziłem się włączyć, nie w tworzenie, bo Instytut Fizyki – początkowo jako Zakład Fizyki – funkcjonował od czasu uruchomienia uczelni, lecz w pracę na rzecz rozwoju instytutu, nad którym zawisło widmo utraty prawa prowadzenia studiów magisterskich ze względu na braki kadrowe. Pomogłem tego uniknąć, a wykorzystując swoje kontakty, przyciągnąłem do instytutu dobrych fizyków z Krakowa i Warszawy. Wzmocnieni kadrowo uzyskaliśmy w 2005 roku prawo doktoryzowania, a po kolejnych 7 latach – habilitowania. Instytut rozwijał się, współpracując z wieloma ośrodkami w Polsce i na świecie. W laboratorium, wyposażonym początkowo w jedną lampę rentgenowską, zainstalowano unikalny akcelerator EBIS niskoenergetycznych jonów w wysokich stanach ładunkowych z całym oprzyrządowaniem służącym fizyce atomowej i fizyce materiałów; powstała grupa fizyki wysokich energii, uczestnicząca w eksperymentach prowadzonych w CERN; na dachu naszej siedziby uruchomione zostało małe obserwatorium i planetarium. Zaczęliśmy organizować liczne imprezy naukowe, łącznie z międzynarodowymi konferencjami i Zjazdem Fizyków Polskich.

W kontekście gorącej ostatnio dyskusji o nowych licznie uruchomionych wydziałach lekarskich w mniejszych ośrodkach, warto wspomnieć, jak długa była droga do powstania Collegium Medicum Uniwersytetu Jana Kochanowskiego. Już w 1969 roku powołano, we współpracy z Akademią Medyczną w Krakowie, Zespół Nauczania Klinicznego przy Szpitalu Wojewódzkim w Kielcach. Z czasem Zespół stał się Instytutem Medycyny Klinicznej, a Medyczna Szkoła Pomaturalna została włączona w struktury Akademii Świętokrzyskiej. W roku 2005 utworzono Wydział Nauk o Zdrowiu, gdzie kształcono na kierunkach: pielęgniarstwo, położnictwo

fizjoterapia, i dopiero po kolejnych 10 latach uruchomiono kierunek lekarski, który cieszy się ogromnym zainteresowaniem kandydatów na studia.

W ostatnich 10 latach uczelnia pozyskała blisko 500 milionów złotych, w dużej części środków europejskich, co pozwoliło na rozbudowę zaplecza dydaktycznego i bazy naukowej. Powstało kilka nowych, nowoczesnych budynków, jak choćby biblioteka czy Centrum Rehabilitacji i Sportu. To jednak nie budynki, lecz ludzie – studenci i nauczyciele akademicy, a także poziom dydaktyki i prowadzonych badań stanowią o wartości uniwersytetu.

Tradycyjnie chlubą uniwersytetu są językoznawcy i literaturoznawcy, na czele z profesorem Zdzisławem Adamczykiem – redaktorem *Pism zebranych* Stefana Żeromskiego. Podobnie historycy, szczególnie ci zajmujący się powstaniem styczniowym, którego Kieleccyzna była ważną areną, cieszą się uznaniem. Mają swoje osiągnięcia chemicy, biolodzy, geografowie z UJK. O najbliższej mi fizyce i o Collegium Medicum już wspominałem. Wydziały Pedagogiki i Psychologii oraz Prawa i Nauk Społecznych dopełniają strukturę uniwersytetu. Chciałbym jeszcze odnotować funkcjonowanie, jak na dobrych amerykańskich uniwersytetach, Wydziału Sztuki, gdzie pracuje wielu cenionych artystów kształcących plastyków i muzyków.

W ciągu ponad 50 lat istnienia uczelnia uległa pełnemu przeobrażeniu pod każdym względem. Wciąż jednak jest dużo do zrobienia, szczególnie gdy idzie o jakość kształcenia i poziom prowadzonych badań. Paradoksalnie postęp w tych obszarach zależy nie tylko od lokalnych działań, lecz w ogromnej mierze od zewnętrznych uwarunkowań.

Na polskich uczelniach panuje „chów wsobny”. Absolutna większość kadry Uniwersytetu Warszawskiego to absolwenci tego uniwersytetu. Podobnie jest na Uniwersytecie Jagiellońskim i na każdej innej polskiej uczelni. Nawet w obrębie jednego miasta wymiana jest znikoma. Na Wydziale Fizyki UW nie uświadczą się absolwentów Politechniki Warszawskiej, podobnie pracownicy Wydziału Fizyki Politechniki to w znakomitej większości jego wychowankowie.

Jeśli uczelnia reprezentuje dobry poziom, to ów „chów wsobny” wprawdzie nie sprzyja rozwojowi, lecz przynajmniej bardzo go nie hamuje. W przypadku słabszych uczelni zjawisko jest szkodliwe, bo utrwala słabości. Przez cały okres mojej pracy w UJK rozglądałem się za fizykami chętnymi u nas pracować. Rzadkością było, by ktoś sam się zgłosił. Łatwiej było pozyskać dobrego cudzoziemca niż absolwenta czolowych polskich uczelni. Niestety, wymóg prowadzenia dydaktyki po polsku bardzo ogranicza tę drogę podnoszenia poziomu kadry akademickiej.

Przeżyłem już kilka reform szkolnictwa wyższego w naszym kraju. Jednak nigdy nie odbyła się poważna dyskusja nad jego docelowym modelem. Nigdy nie zadeklarowano, czy zmierzamy ku – upraszając – modelowi angielskiemu z trzema elitarnymi uniwersytetami i dużą liczbą słabszych uczelni, czy ku niemieckiemu z całą siecią uniwersytetów na zbliżonym dobrym poziomie. Przyznam, że ten drugi wariant jest mi bliższy, wierzę, że lepiej służy społecznym potrzebom, tak na poziomie lokalnym, jak również krajowym.

Mechanizmem wyrównującym poziom uniwersytetów jest zakaz „chowy wsobnego” – awans powinien wiązać się z przenosinami na inną uczelnię. Myślę, że gdyby podobnie działająca zasada obowiązywała u nas, uniwersytet taki jak kielecki – ze zbudowaną wielkim wysiłkiem infrastrukturą, zapleczem dydaktycznym i naukowym – dużo by zyskał, zyskałaby też polska nauka.

STANISŁAW MRÓWCZYŃSKI

Narodowe Centrum Badań Jądrowych w Warszawie  
i Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach

# Nauka z mistrzem

Od jakiegoś czasu dyskutuje się o statusie badań naukowych w Polsce i porusza głównie sprawy finansowania nauki. Tutaj chciałbym zwrócić uwagę, że mało poruszana jest równie ważna kwestia roli *mistrza* w zespole naukowym, gdyż od niego wszystko powinno się zaczynać.

Oczywiście, finansowanie jest warunkiem koniecznym sukcesu w badaniach podstawowych, zwłaszcza w dziedzinach takich, jak biologia, chemia, fizyka, czy medycyna. W takich zagadnieniach, jak badania nad komputerami kwantowymi i sztuczną inteligencją, badania mechanizmu genetycznego i biochemicznego chorób (takich jak nowotworowe czy inne wirusowe), czy też badania zmian środowiska naturalnego, nakłady mierzy się w miliardach euro. W związku z tym zapewne najbogatsze kraje i firmy światowe wieść będą w nich prym. Jednakże czy stać nas na to, żeby nie brać w nich udziału i w ten sposób cofać się cywilizacyjnie czy technologicznie, gdyż nie będziemy w stanie nawet zaadaptować się jako społeczeństwo do nowych rozwiązań? Pytanie to ma kapitalne znaczenie i odpowiedź na nie jest prosta, ponieważ nie ma możliwości objęcia wszystkich problemów jednocześnie z braku zasobów finansowych, a przede wszystkim z niewystarczającej wiedzy do ich rozwiązania metodą *tour de force*.

Co zatem zmieniać przy naszych ograniczonych środkach, żeby jednak móc prowadzić badania pionierskie? Otóż chciałbym zwrócić uwagę na mało poruszaną kwestię, a mianowicie na rolę *mistrza w nauce*, zwłaszcza przy kreowaniu zespołu naukowego w nowej tematyce, w tym przy prowadzeniu młodych licencjatów, magistrantów czy doktorantów. Tezą tego eseju jest, że dopiero uwzględnienie roli mistrza tworzącego unikalny zespół jest – w połączeniu z finansowaniem, być może, nawet mniejszym, czynnikiem dostatecznym rozwoju. Z własnego doświadczenia wiem, że na dobrych uniwersytetach wybiera się nowego profesora w oparciu o jego dokonania jako postdoca, ale przede wszystkim na podstawie tego, jaką nową tematykę proponuje i czy jest komunikatywny w najwyższym stopniu, bo to podstawa dobrego wykładania i przez to przyciągania ambitnych młodych ludzi do tworzonego nowego zespołu, a także zarażenia ich entuzjazmem do tej nowej tematyki i nauki w ogólności. Na podstawie wspomnianych kryteriów taki młody profesor dostaje kredyt zaufania na okres 5–7 lat, po których liczyć się już będzie siła jego zespołu, opartego na solidnym finansowaniu. Przy spełnieniu tych warunków profesor zatrudniany jest dopiero na stałe (tzw. *tenure*).

Taki schemat jest realizowany tylko w krajach anglosaskich. Wyjątek od niego stanowią wybitni naukowcy, którzy, nawet pracując samodzielnie, są w stanie udowodnić swoją wartość przez wspomniane 5–7 lat, będąc zapraszany do wygłoszenia referatów na prestiżowych konferencjach, podpartych świetnymi pracami oryginalnymi. Jeden z naszych wybitnych fizyków teoretyków ukuł nawet powiedzenie: *pierwszorzędni fizycy promują pierwszorzędnym fizyków; drugorzędni fizycy produkują trzecio- i czwartorzędnych fizyków*. Oczywiście termin „fizyk” można zastąpić terminem „uczony” z dowolnej dziedziny. Nie wiem, czy humanistyka rządzi się takimi zasadami, gdyż tam kariera naukowa jest chyba bardziej zindywidualizowana.

Czy taki proces od pojedynczego *mistrza* do *zespołu mistrzowskiego* jest możliwy do zaimplementowania u nas? Pewnie istnieją mistrzowie i można co najmniej kilku wymienić w każdej dziedzinie. Czy jednak nasz system awansu, a także finansowania nauki, jest w stanie promować unikalnych mistrzów? Problemy są tutaj przynajmniej dwa, każdy z nich możliwy do rozwiązania.

Pierwszy problem związany jest z tym, że obecnie asystent czy adiunkt z doktoratem jest już stabilizowany na etacie, często w tym samym zespole, w którym zdobył wszystkie wcześniejsze stopnie naukowe. Naturalnie są organizowane konkursy na te stanowiska i na przykład w przypadku fizyki na UJ czy UW (te środowiska znam) prowadzą do dobrych wyników. Jednakże mniej lub bardziej automatyczna stabilizacja na tak niskim poziomie (np. bez habilitacji) nie może się sprawdzić w większości przypadków. Nawet wymóg odbycia stażu zagranicznego (lub w innym ośrodku w kraju) jest niewystarczający do uzyskania stopnia niezależności prowadzącego docelowo do roli mistrza, gdyż zwykle postdoc pracuje w zespole o określonej tematyce grantowej, gdzie zadania badawcze są już określone, a wkład indywidualny postdoca jest zwykle cząstkowy. Chyba że się było u mistrza, który ma znakomitą tematykę i który pozwala na niezależność w wysokim stopniu. Tak jest np. na dobrych uniwersytetach brytyjskich.

Drugi problem związany jest z masowością średnich habilitacji. Jako wieloletni recenzent rozpraw doktorskich i habilitacyjnych widzę, że czasami te pierwsze są lepsze niż te drugie. Zachodzę w głowę, dlaczego tak jest. Czy ciśnienie, żeby zrobić habilitację, jest najważniejsze? W czasie gdy kończyłem swoją rozprawę habilitacyjną, jeden z kolegów zażartował do mnie: *to jak, robisz habilitację, czy pracujesz naukowo?* Czy nie ma w tym szczypty prawdy? Oczywiście, okres między doktoratem a habilitacją to dobry początek „*mistrzostwa*”, później młodzi już oczekują tylko „*mistrzostwa*” w wykładach, w tworzeniu kongenialności w zespole, a przede wszystkim w kreowaniu dobrych pomysłów, w których oni się odnajdą i nauczą, *jak się robi naukę*. Mój promotor, Prof. Janusz Morkowski powiedział mi gdzieś w połowie doktoratu: *rozwiąż jeden z pomysłów, które już masz, może to nawet być bardzo wąski problem, ale rozwiąż go do końca (jak najmniej przybliżeń), a dowiesz się, jak się robi naukę w ogólności*. Był nawet skłonny do zmiany tematu doktoratu, jeśliby nowy wynik zadowolił jego gust unikalności. Po czym, już po doktoracie, w kilku zdaniach zasugerował mi nierozwiązaną tematykę, która zmieniła moje dalsze życie (zmieniłem też specjalność). Czy nie taki też winien być mistrz?

Zapytałem niedawno osobę odpowiedzialną w Komitecie Ewaluacji Nauki za nauki ścisłe i techniczne, czy pisanie jak najlepszych prac w jak najlepszych czasopismach dalej wystarczy do wysokiej oceny dorobku? Odpowiedziała, że tak. Zamarzyliśmy razem, że byłoby może dobrze, gdyby instytuty czy wydziały startujące do oceny wyróżniały 3–5 grup mistrzowskich wśród nich i żeby były one brane pod uwagę jako jakaś część oceny ilościowej jednostki. Czy chociaż niektóre z tych idei są możliwe do praktycznego zastosowania, *that is the question*.

Na koniec uwaga. A mianowicie, dobre firmy informatyczne, także u nas, dają bardzo dużo swobody swoim pracownikom co do rytmu i miejsca pracy (zapoczątkowała to pandemia). Także pełna autonomia i nieformalne burze mózgów, a także inne benefity, jak np. granty naukowe, prowadzą do szybkiego sukcesu nawet małego zespołu. Czy nie przejmują one zatem cech znamiennej dla zasadniczej roli jednostek/uczelni badawczych? W badaniach eksperymentalnych, czy też ze względu na obowiązki dydaktyczne, taka swoboda jest na uczelniach ograniczona. Tak więc, zwłaszcza tu, stoją przed mistrzem w zespole ostre wymagania, gdyż musi być nie tylko koordynatorem prac bieżących, ale także nadawać im sens w dłuższej perspektywie. Wtedy młodzi ludzie widzą unikalność pracy badawczej, o co nam wszystkim chodzi.

# Rojenia humanisty

Codziennie czytam lub słyszę o reformie polskiej szkoły. To budujące i napawa otuchą. Przeświadczenie o dobrych chęciach reformatorów skłania mnie do powściągliwości w wyrażaniu, rozumiałych u humanisty, tęsknot za pomyślanymi do wykreślenia z kanonu lektur utworami.

Czasu przeznaczonego na lekcje polskiego, w szkołach wszystkich poziomów, nie można znacząco wydłużyć, a chciałoby się zachęcić uczniów do czytania Olgi Tokarczuk (choćby najcieńszej z jej książek). Nie trzeba tłumaczyć sensu poznania literatury ukraińskiej, także tej inspirowanej obecną wojną, w wymiarze dającym wyobrażenie o jej istotnych przemianach.

Nie da się tego zrobić bez rezygnacji z części dotychczasowych lektur. I nikt się nie łudzi, że uda się to bez sporów. Mamy sytuację, kiedy reformatorzy proponują zmiany nieśmiało, oponenci nierzadko grzmia.

Myśląc o koniecznych zmianach w szkolnej edukacji, staram się z góry godzić ze stratami, dla mnie humanistki przykrymi. Unikam układania hierarchii strat, bo nie potrafię ocenić, czego bardziej żał: *Szyfowych prac* czy *Pana Tadeusza*, z którego mają w szkole pozostać fragmenty.

Przychodzi do głowy pytanie o redukcję materiału z innych przedmiotów i tu jawi się, laikowi w tych niehumanistycznych przedmiotach nauczania, pewna droga, raczej ścieżka, wiodąca ku lepszej sytuacji lubiących czytać książki.

Otóż, niezależnie od tego, w jakim stopniu korzystamy z internetu i co wiemy o tkwiących w sieci szansach oraz pułapkach, na pewno wyręcza nas ona z potrzeby pamiętania różnych – bardzo wielu – wiadomości, które moje pokolenie przyswajało w szkole. Wiemy też wszyscy, że korzystanie z internetu staje się udziałem coraz młodszych, niemal równocześnie z nauką czytania. W przeobrażaniu szkoły jest to czynnik jakościowy, a w każdym razie tak powinniśmy możliwości i faktyczne wykorzystanie sieci traktować.

Szkola, jakiej współcześnie potrzebujemy to, formułując najogólniej, przewodnik po świecie, który to świat szybko się zmienia i nie zawsze potrafimy w porę przewidzieć kierunek zmian. Wynika stąd wprost, że zasób wiedzy, jaki wynosimy ze szkoły, jeśli ma być przydatny w życiu, powinien być ograniczony do najbardziej fundamentalnych i stabilnych wiadomości. Jednak wraz ze zmniejszaniem się tego podstawowego zasobu rośnie potrzeba sprawności w korzystaniu z dostępnych źródeł wiedzy i śmiałości w sięganiu po nie. Musi więc szkoła stawać się nieustannie aktualizowanym przewodnikiem, baczny wobec pojawiających się nowych możliwości poznania. Jedną z nich wydaje się sztuczna inteligencja, choć nie wiemy jeszcze, jak będą się bilansować nadzieje i obawy związane z tą sferą ludzkiej aktywności.

Wracam do humanistycznych niepokojów czy też smutków. Wyrażając je dobitnie, trzeba powiedzieć, że sztuczna inteligencja nie przeczyta za żadnego ucznia *Pana Tadeusza*. Nie obiecuje tego, jak sądzę, nawet w przyszłości. Tu słychać argument: „Zastąpimy ten ubytek tekstem bardziej współczesnym”. Trudność w tym, że dzieła literackie są w pełni oryginalne, zatem niewymienialne. Można ten dyskurs

ciągnąć, twierdząc, że utracone, z wykreślonym z kanonu dziełem – wartości zastąpią inne, nie mniejsze. Tak będzie w praktyce i tym się pocieszymy, przypominając tę konieczność reformatorom.

Postulat zastępowania arcydzieł arcydziełami łatwo sformułować, ale opatrywanie tym mianem konkretnych książek nie jest bezdyskusyjne. Obecne dziś w kanonie szkolnym mają za sobą nie tylko pieczęcie literaturoznawców oraz krytyków, ale zdążyły się „uleżeć” na najwyższej półce, przetrwać artystyczne wątpliwości, nawet ociąganie się uczniów (dawniej sięgających po bryki). Współczesne dzieła i arcydzieła ten los czeka, przy czym nie powinno to wpływać na ich szkolną sytuację, nie ma bowiem w szkole (niestety?) czasu na literackie dyskusje.

Ostrożność w przyznawaniu miana arcydzieła, jakie powinno się zapisać w pamięci każdego, kto skończy szkołę, jest konieczna z jeszcze jednego względu. Przerabianie na lekcjach dobrych książek, uznanych za wartościowe z uwagi na treść i formę jej przedstawienia, kształtuje, w mniejszym i większym stopniu, gust literacki, a nawet szerzej, gust artystyczny. Przywykamy podziwiać wymowne obrazy, trafne opisy, udane dialogi. Odnosimy to potem do innych, różnego poziomu lektur, ale także do oglądanych filmów, spektakli teatralnych, podpisów pod eksponatami wystaw. Omawianie lektury na lekcji utrwała wycucie kryteriów dobrego gustu w szerokim rozumieniu tego pojęcia. I to jest szczególnie potrzebne dzisiaj, kiedy kultura masowa włada coraz większymi obszarami zbiorowej wyobraźni i ma coraz szerszy społeczny zasięg. Nie jest bagatelny czynnik kształtowanie dobrego gustu, bo szkołę kończą także przyszli artyści, organizatorzy życia kulturalnego i wychowawcy kolejnych pokoleń. I nie jest to biadanie humanistki starego chowu, ale próba opisania niektórych zadań stojących przed szkołą, gdy przeżywa ona radykalną odmianę, mającą sprawić, by opuszczali ją młodzi ludzie wrażliwi na aktualne potrzeby środowisk, w jakich się znajdują.

\*

Pośród zgłębienia wokół szkolnych lektur przypomniało mi się zdarzenie sprzed kilku dekad. Koleżanka na studiach oznajmiła pewnego razu zdecydowanie: „Będę czytać tylko arcydzieła. A i tak zdążę przeczytać małą część – do końca życia”. O ileż mniejszą część arcydzieł da się pomieścić w kanonie dla uczniów wszystkich klas, gdzie obowiązują lektury. Jakże wyśrubowanych kryteriów tu potrzeba. Takie zadanie mogłoby się udać w małej tylko części, ale może warto się pokusić? Wiąże się z tym jeszcze trud uzasadniania wyboru, tj. pokazywania, dlaczego tę właśnie książkę uznajemy za arcydzieło. Wiadomo, że nieostatnim kryterium jest tu sprawa gustu, w szkole gustu nauczyciela. I także skromnego przyznania, że bywają gusta odmienne. Trudne zadanie czeka reformatorów. Nie uda się go spełnić ani w stu procentach, ani szybko. Jest to przy tym zadanie dla każdego, kto czyta i kto chce, żeby młodzi ludzie czytali i rozmawiali o czytaniu. Przez to zadanie ponętne.

MAGDALENA BAJER

## PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademička – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.  
**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.